

Kazimierz Rakowiecki

Ze wspomnień prawnika : (dokończenie)

Palestra 3/10(22), 52-59

1959

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KAZIMIERZ RAKOWIECKI

adwokat

em. sędzia Sądu Najwyższego

Ze wspomnień prawnika

(dokończenie)

Wojna światowa 1914-1918

W 1914 r. nie ruszałem się z Warszawy, chociaż Niemcy podeszli już blisko do stolicy i część Wydziału Prawnego Kolei W-W została na pewien czas ewakuowana do Kijowa. Natomiast w 1915 r., gdy nakazana została ewakuacja wszystkich pracowników Kolei W-W początkowo do Mińska Litewskiego, a potem do Moskwy — wyjechałem i ja, aczkolwiek niechętnie, wraz ze swą rodziną, którą na parę miesięcy ulokowałem w domu zacnej p. Szalewiczowej w Ko'dyczewie koło Baranowicz, a następnie wywoziłem do Mińska i do Moskwy. Razem ze mną opuścili Warszawę: mecenas Karol Dunin, wybitny prawnik, który zmarł w Moskwie zimą 1916 r., Henryk Pytliński, Jan Paszkowicz, Jan Kopczyński, Feliks Popielecki, Konrad Jocz i inni. W 1916 r. część moich kolegów i ja zostaliśmy oddelegowani do Kijowa do wydziału prawnego dróg żelaznych południowo-zachodnich.

W Mińsku a potem w Moskwie i w Kijowie było mnóstwo Polaków. Na ulicach słyszało się wciąż i wszędzie język polski. Podczas świąt Wielkanocnych 1916 r. prezes Domu Polskiego w Moskwie Aleksander Leńnicki wydał przyjęcie dla licznej grupy Polaków i na tym przyjęciu sam dwukrotnie zaintonował hymn „Boże, coś Polskę”, głośno i ze wzruszeniem śpiewany przez zgromadzoną polonię. W Moskwie i w Kijowie zostały otwarte polskie gimnazja męskie i żeńskie, a także polskie teatry.

Moskwa i Kijów były to miasta bogate. W sklepach do jesieni 1917 r. na niczym nie zbywało. Pensje płacono normalnie w określonym czasie.

Wszystkim, którzy wyjechali z kraju, dobrowolnie, czy przymusowo, a którzy nie mieli stałych poborów, przychodził z wydatną pomocą specjalny Polski Komitet w Piotrogradzie, na czele którego stał Władysław Grabski. Komitet ten otrzymywał duże fundusze od tak zwanego Komitetu Tatianowskiego, pozostającego pod honorowym przewodnictwem córki Mikołaja II — Tatiany.

Mimo tych wszystkich udogodnień żarła nas wszystkich tęsknota za rodzinnym krajem i stały niepokój o pozostałych w kraju bliskich; czyhały też nieraz na mnie i na moją rodzinę różne niebezpieczeństwa w Kijowie, o czym, jako o sprawach osobistych, nie będę się tutaj roz-
wodził.

Najwięcej ucierpiały liczne gromady ludności wiejskiej, ewakuowanej przymusowo ze wschodnich połaci Królestwa, w czasie swej tułaczki po drogach i bezdrożach rosyjskich. Ginęły one z głodu i poniewierki, zanim mgła do nich dotrzeć pierwsza pomoc. Tę nieludzką ewakuację zarządził w 1915 r. ówczesny głównodowodzący w Królestwie gen. Aleksiejew, który widząc, że musi ustąpić z „Priwiślińja”, głosił i wcielał w życie hasło: „Charaszo, my ustupim, no ostawim pustyniu”.

Pobyt w Kijowie jesienią 1917 r., w zime z 1917 na 1918 r. i wiosną 1918 był coraz cięższy i trudniejszy do przetrwania. Chleb — w środku żywej Ukrainy — był coraz gorszy, na pół z grochem. Byliśmy świadkami wielkiego wybuchu materiałów wojskowych, tj. nagromadzonej amunicji, od którego drżały mury w całym mieście. Widzieliśmy olbrzymi pożar dolnej części miasta nad Dnieprem tak zwanego Padołu.

Po zajęciu Kijowa przez wojska niemieckie udało mi się — po 3 niemal latach — po raz pierwszy nawiązać łączność z ojcem i pozostałą w kraju rodziną. Ojciec wystarał się o zezwolenie na nasz powrót do Warszawy. W połowie czerwca 1918 r. wyruszyliśmy w wypełnionym pierwszym pociągu ewakuacyjnym, składającym się z wagonów towarowych, w podróż do kraju, która trwała przeszło 10 dni.

W Warszawie Niemcy byli jeszcze butni, ale znać było, że są już bardzo wyczerpani. Wzmoczone ich natarcia na froncie francuskim załamały się w lipcu. Czuć już było ich klęskę ostateczną.

Zacząłem się zaraz starać o pracę i otrzymałem ją od 1 września 1918 r. w Sekcji Ustawodawczej Ministerstwa Sprawiedliwości, jako radca ministerialny, w charakterze referenta do spraw ustawodawstwa eywilnego. Pierwszą przysięgę służbową polską przyjął ode mnie osobście z wielką powagą ówczesny minister sprawiedliwości Higersberger. W październiku Niemcy załamały się ostatecznie. W listopadzie Warszawa była już wolna.

Praca w Ministerstwie Sprawiedliwości

Praca ta była z natury rzeczy doraźna i gorączkowa. Byłem kilkakrotnie wysyłany jako delegat Ministerstwa do brania udziału w posiedzeniach różnych komisji międzyministerialnych. Pamiętam zwłaszcza jedno takie posiedzenie, poświęcone omówieniu sytuacji służby folwarcznej. W posiedzeniu tym brali m. i. udział Stanisław Wojciechowski, naówczas minister spraw wewnętrznych, Iwanowski, minister pracy, oraz radca tegoż ministerstwa Lewi, wielki lewicowiec. Szczegóły debaty zatarły się już w mej pamięci prócz tego, że gdy zwróciłem uwagę na pierwszorzędne znaczenie zapewniania dostatecznej ilości chleba dla ogółu ludności w wyczerpanym ekonomicznie kraju, Lewi buńczucznie wystąpił w obronie szczególnych interesów służby folwarcznej twierdząc, iż prawa tej służby muszą być przede wszystkim uwzględnione, choćby kraj miał pozostać bez chleba. Minister Iwanowski nie śmiał się nawet odezwać, tylko chodził nerwowo po pokoju. Na posiedzeniu nie doszło do wzajemnego porozumienia, a minister Wojciechowski jako przewodniczący zamknął je rozłożeniem ramion, wyrażając obawę, aby przy zbyt radykalnym załatwianiu tej sprawy kraj nasz istotnie nie był pozbawiony chleba.

Praca w Prokuraturii Generalnej

Od maja 1919 r. zmieniłem pracę, przechodząc do Prokuraturii Generalnej. Stanowisko starszego radcy i kierownika Wydziału Kolejowego zaproponował mi świeżo mianowany prezesem organizującej się Prokuraturii Stanisław Bukowiecki. Był on jeszcze za czasów okupacji niemieckiej przez krótki czas ministrem sprawiedliwości, mianowicie do czasu zawarcia tak zwanego pokoju brzeskiego między Niemcami a Ukraińcami. Potem Bukowiecki był radcą prawnym ministerstwa Oświecenia.

Zaproponowane mi przez Bukowieckiego stanowisko przyjąłem i znalazłem się znów w innym gronie kolegów: wiceprezesa Waygarta Alfonsa Parczewskiego, który wraz ze swą siostrą, Melanią, zasłużył się jako budzieli polskości na Śląsku, a potem był profesorem Uniwersytetu Wileńskiego, dalej — Józefa Siemieńskiego, historyka, Jana Sukiennickiego, Tomasza Marynowskiego, Stanisława Hilbrichta, Jana Welońskiego, syna znakomitego rzeźbiarza, Ciąglińskiego, jednego z wielu braci Ciąglińskich, oraz kilku innych młodszych kolegów. Parczewski

i Siemiński niedługo byli zatrudnieni w Prokuraturii, gdyż zamiłowania ciągnęły ich do poświęcenia się innej, bardziej przy tym samodzielnej pracy.

Stanisław Bukowiecki był ciekawą i wybitną osobistością. Niewidomy, miał doskonałą pamięć i dobrą orientację prawniczą. Był dokładny, do biura przyjeżdżał punktualnie. Sekretarz czytał mu dzienniki ustaw i inne przepisy prawne, a on słuchając zachowywał je w pamięci. Był jednak arbitralny i zawsze starał się przeforsować własne zdanie. W paru zasadniczych sprawach nie mogłem się z nim zgodzić.

Mimo tej apodyktyczności Bukowieckiego, która zraziła wielu kolegów, przetrwałem w Prokuraturii do 1928 r. Następcą mój na stanowisko wiceprezesa Jan Sukiennicki nie był tak cierpliwy i wkrótce zrezygnował z tego stanowiska, przenosząc się do Ministerstwa Poczt i Telegrafu w charakterze radcy prawnego tego ministerstwa.

W czasie mego urzędowania w charakterze wiceprezesa Prokuraturii odbywałem, w zastępstwie niewidomego prezesa, wizytacje oddziałów Prokuraturii we Lwowie, Krakowie i Poznaniu oraz wizytacje delegatur w Wilnie i Gdańsku. Wszędzie zastawałem wzorowy porządek w prowadzeniu spraw i w księgowości, co było zrozumiałe, gdyż od dawna istniejąca we Lwowie i w Krakowie instytucja Prokuraturii miała doskonałych kierowników (jak prezes Hamerski we Lwowie), radców i innych pracowników, a w Poznaniu też powstał doborowy skład Oddziału.

W związku z powyższym pozwolę sobie wyrazić zdanie, że instytucję Prokuraturii Generalnej należałoby przywrócić, i to nawet w szerszym zakresie, wzorowanym — oczywiście z uwzględnieniem obecnych warunków — na pierwotnej ustawie Prokuraturii w Królestwie Polskim. Dałoby to jednolitość obrony interesów Skarbu i wszelkiego innego mienia społecznego, wytworzyłoby liczne kadry wysoko kwalifikowanych prawników, którzy współdziałaliby razem z sądami cywilnymi w szczytnych zadaniach wymiaru sprawiedliwości.

Opuszczenie Prokuraturii. Praca w Sądzie Najwyższym

Od dłuższego czasu pragnieniem moim było przejść do sądownictwa, mianowicie do Sądu Najwyższego, ściślej — do Izby Cywilnej. Pomogła mi w tym zamiarze obrona, jaką szczegółowo opracowałem i wygłosiłem w Sądzie Najwyższym w zawilej sprawie Skarbu przeciwko kupcowi Luxemburgowi, który wybudował na terytorium poklasztornym w pobliżu kościoła kapucynów, między Senatorską a Niecałą, dość zresztą

niepozorną oszkloną galerię, nazwaną szumnie „Galerią Luksemburga” z szumnym również napisem na froncie *Sibi et suis*. Tę sprawę w Sądzie Najwyższym wygrałem. Przy nadchodzących wyborach nowego sędziego Sąd Najwyższy wybrał mnie jako pierwszego na liście kandydatów, przedstawionej Ministrowi Sprawiedliwości. Po pewnym czasie jesienią 1928 r. przeszedłem do Sądu Najwyższego, pożegnany przez współtowarzyszy pracy w Prokuraturii Generalnej.

Znowu więc, już po raz piąty, zmieniłem rodzaj pracy prawniczej i znowu znalazłem się w gronie nowych kolegów. Prezesem I Izby Cywilnej, sądzącej sprawy z terenu byłej Kongresówki, a zarazem prezesem Komisji Kodyfikacyjnej był wybitny i powszechnie ceniony prawnik Bolesław Pohorecki (w 1940 r. zginął w Katyniu). Sędziami Izby I byli: Stefan Holewiński, syn prof. Władysława Holewińskiego, Ignacy Baliński, niegdyś mój kolega w Prokuraturii Król. Pol., Stanisław Nowodworski, były 3-krotny minister, Władysław Żywicki, były mój kolega w Wydziale Prawnym Kolei W-W, Waclaw Miszewski, znawca i główny twórca kod. postęp. cywilnego, Witold Świącicki, który później przez lat kilka pełnił obowiązki prezesa Izby Cywilnej, a był jednym z najwybitniejszych sędziów cywilnych, Feliks Suryn, przemiły człowiek, którego zwano „słodkim sędzią” zarówno z powodu słodczy jego charakteru, jako też dlatego, że na sesje wstępne, kiedy komplet sędziowski omawiał sprawy wyznaczone na najbliższą wokandę przynosił zawsze paczkę cukierków lub czekoladek i częstował kolegów. Dalej ze starszych sędziów był Kondratowicz o nieco sangwinicznym charakterze, ale człowiek niezłomnych zasad, który śmiało się wypowiadał, oraz Mierzynski, były członek Senatu rosyjskiego. Z młodszych zaś sędziów, którzy weszli w skład I Izby Cywilnej już po mnie, wymieniam Krotowskiego, Konica, a zwłaszcza Jana Jureckiego, przemiłego kolegę, z którym podczas okupacji hitlerowskiej często się spotykałem, mieszkał on bowiem z żoną i synem we własnej willi z ogródkiem na Żoliborzu w pobliżu mnie, i którego też często odwiedzałem. Miał on usposobienie smętne i pesymistyczne i nieraz odzywał się do mnie: „Czy my to wszystko przetrzymamy?” Niestety wyróżył sobie zły los, gdyż w czasie powstania 1944 r. bomba czy też ciężki pocisk zburzyły całkowicie jego willę, a pod jej gruzami znaleźli śmierć oboje Jureccy.

Ze wszystkimi tymi kolegami sędziami łączyły mnie przyjazne stosunki. Jeżeli były między nami różnice w poglądach na wyrokowanie w niektórych poszczególnych sprawach, to różnice te wypływały głównie stąd, że chociaż Sąd Najwyższy był wtedy instancją wyłącznie kasacyjną — o czym oczywiście dobrze wiedziałem — to jednak przy wyro-

kowaniu zawsze brałem pod uwagę, która strona, moim zdaniem, ma słuszność materialną, a nie tylko formalną.

W krótkim jednak czasie po moim wstąpieniu do Sądu Najwyższego zaszły poważne zmiany organizacyjne, wywołane wciąż wzmagającym się dążeniem rządowych kół sanacyjnych do ograniczenia samodzielności sądów, w szczególności do ograniczenia wolnych wyborów przez zebrania ogólne kandydatów na sędziów, prezesów i przewodniczących kolegiów sądujących, zwłaszcza w sprawach karnych. Wspomniane koła w posłusznym im Sejmie przeprowadziły ustawę usuwającą w całości wpływ sądów na wybieranie prezesów i wiceprezesów oraz organiczającą w ogóle samorząd sędziowski. Po czym usunięto Pierwszego Prezesa S.N. Władysława Seydę, a na jego miejsce mianowano Leona Supińskiego, człowieka powolnego wskazówkom sanacji. W Izbie Karnej zaś usunięto prezesa Aleksandra Mogilnickiego, człowieka niedużego wzrostu, a'e dużej wiedzy prawniczej i stałych zasad.

W sądach okręgowych, apelacyjnych i w Sądzie Najwyższym utworzono dwie kategorie sędziów: lepiej i gorzej uposażonych. Tak więc sędzia sądu okręgowego mógł mieć uposażenie normalnie przywiązane do tego starowiska lub też otrzymać uposażenie II kategorii, odpowiadające uposażeniu sędziego grodzkiego. To samo było w sądach apelacyjnych i w sądzie Najwyższym.

Zaliczenie sędziego do pierwszej lub drugiej kategorii uposażenia zależało od dowolnego uznania ministra sprawiedliwości. Tak więc minister mógł zaliczyć sędziego S.N. do I kategorii uposażenia (1.100 zł miesięcznie) lub też do II kategorii, mającej uposażenie sędziego sądu apelacyjnego, tj 800 zł. Taki system nieraz deprawował sumienia sędziów niżej uposażonych, którzy obawiali się, że jeśli nie będą ulegali wyraźnym lub domniemanym życzeniom rządu, stracą nadzieję przesunięcia ich z kategorii II do kategorii I. Sam się o tym dobrze przekonałem, gdy jako członek specjalnych mieszanych kompletów wyborczych Sądu Najwyższego, decydujących o ważności zaprotestowanych wyborów sejmowych, byłem koreferentem w sprawie ważności wyborów w okręgu Przemysła. Fałszerstwa w protokołach wyborczych były oczywiste i wręcz ordynarne, gdyż w miejscach, gdzie były podawane liczby ogólne głosów złożonych na posłów poszczególnych stronnictw, widniały wyraźne żółte plamy od chorku, którym były wywabione pierwotne liczby, a na tych plamach wypisane świeżym atramentem nowe liczby, bardzo wysokie dla listy sanacyjnej nr 1, a niskie dla list stronnictw opozycyjnych. Należy dodać, że były to już powtórne wybory w tym okręgu. pierwsze bowiem wybory w tymże okręgu zostały przedtem

przez Sąd Najwyższy unieważnione. Wskazując na powyższe jawne fałszerstwa, wnosiłem o ponowne unieważnienie wyborów, lecz przewodniczący kompletu i sędzia referent — obaj z innych Izb niż I Izba Cywilna — nie zgodzili się ze mną i wotowali za zatwierdzeniem wyborów. Przewodniczący kompletu oświadczył, że nie warto uchylać wyborów, gdyż i tak trzecie wybory dałyby taki sam rezultat, a sędzia referent, przyparty przeze mnie do muru, wybuchnął wreszcie: „Czego Pan chce, ja mam rodzinę, a uposażenie II kategorii; gdy te wybory będą ponownie unieważnione, ja już nie otrzymam I kategorii”. Tak to rządy pragnące za wszelką cenę przeprowadzać swoją wolę i utrzymywać się przy władzy deprawowały ludzi o słabych charakterach i sprowadzały do fikcji zasadę niezawisłości sądów. Uczyniłem, co mogłem: złożyłem na piśmie obszernie umotywowane *votum separatum* z wnioskiem o unieważnienie wyborów, ale formalnie nie miało to już żadnego znaczenia, gdyż zgodna decyzja 2 sędziów była ostateczna. Oczywiście, w swym odrębnym zdaniu wyraźnie podkreśliłem dokonane fałszerstwa wyborcze, lecz nie chcąc szkodzić sędziemu referentowi, przemilczałem jego kompromitującą wypowiedź.

Wynik głośnego w dobie międzywojennej procesu brzeskiego, częste łamanie praworządności i późniejsze wspomniane już machinacje wyborcze spowodowały zgłoszenie przeze mnie podania o przeniesienie mnie w stan spoczynku z końcem 1934 r. i przejście na całkowicie już wysłużoną emeryturę (w kwocie 1 100 zł miesięcznie). Podanie to zostało przyjęte. Teraz, gdy na te sprawy spoglądam po upływie lat dwudziestu kilku, przychodzi refleksja, że postąpiłem zbyt pośpiesznie, że należało trwać na posterunku i w miarę możliwości walczyć o praworządność w stosunkach politycznych i społecznych. Jednakże zły stan mych oczu które zawsze były słabe, a wskutek wytężonej pracy więcej jeszcze osłabły, spowodował — łącznie z wymienionymi wyżej przyczynami — wycofanie się moje z pracy w Sądzie Najwyższym.

Przeszedłszy na emeryturę, zająłem się pracą kulturalną, gromadziłem coraz więcej cennych książek w mej bibliotece, gdzie miałem m. i komplety dzieł trzech naszych wieszczów, Prusa, Sienkiewicza, Reymonta, Żeromskiego, Wyspiańskiego, Żuławskiego, Konopnickiej, Orzeszkowej i i. Miałem dużo książek historycznych, krajoznawczych i z zakresu historii sztuki. Miałem też szereg cennych książek z dawnej biblioteki mego dziadka, Ignacego Benedykta Rakowieckiego, wybitnego słowianofila, autora dzieła „Prawda Ruska” i innych prac z pierwszej ćwierci XIX w. (Prof. Al. Brückner w dziele swym „Dzieje Kultury Polskiej” t. IV, uważa mego dziadka za najwybitniejszego badacza rodzimych

pierwiastków prawodawstw słowiańskich), i z biblioteki dziadka ciotecznego, brata mojej babki, Adama Maksymiliana Kitajewskiego, wybitnego profesora chemii Uniwersytetu Warszawskiego do 1831 r. Były to książki przeważnie z XVII w., wspaniałe wydawnictwa oficyn księgarskich Amsterdamu, Paryża i i., w języku łacińskim.

Niemal wszystkie książki w mej bibliotece miały trwałą wartościową oprawę i wszystkie były skatalogowane. W 1944 r. spotkał je zły los ze strony świadomych wandalów-hitlerowców, którzy całe moje mieszkanie przy ul. Gdańskiej 2, w tym i całą moją cenną bibliotekę, doszczętnie spalili.